

Życie na Korei



ANDRZEJ SOSNOWSKI

Życie na Korei

Latem 1987

A było tak, że twoja śmierć usiadła w moim cieniu,
żeby się o mnie oprzeć, odetchnąć moimi myślami.
Zerwałem się z miejsca, szukałem słońca w zenicie.
Uzbroiłem się po zęby w humor i witaminy.

Wzruszyłem ramionami i strząsnąłem duszę,
zerwałem czarny bandaż, czarną lunę z pamięci.
Dodałaś mi polotu. Jadłem owoce garściami.
Mikroelementy stanęły na straży komórek.

Szybko, celowo chodziłem, od sprawy do sprawy,
wskoczyłem nawet w ślub nucąc epitalamia.
Zacząłem nawet ćwiczyć: biegi, pompki, sprężyny —
i żadnych nadużyć na niewczesny umór.

To dni były na umór, a każdy sen wściekły
po aurze przywidzeń i zawrocie zmysłów
jak wielki napad na powierzchnię ziemi,
kołatanie ciała, żeby wejść w zimową kwatere.

I goniłem w piętę, traciłem wysokość,
gubiłem krok i miarę, i traciłem oddech —
zgubna poriomania, szalone podróże —
nie z Bordeaux do Nürtingen, ale zawsze.

Ziemia pod stopami wszędzie taka miękka —
czułem, że stopy grzęzną w niej po kostki.
A w nocy — łóżko było jak zapadnia
i bez szmeru usuwało się spod ciała.

Później luki w pamięci, zapatrzenia w okno —
tam mała dziewczynka w bloku naprzeciwko
uśmiecha się z żyłką pomiędzy zębami.
Myślę o jej chłodnych pocałunkach.

Biebrza, Czerwone Bagno

Potrzeba dobrodziejstw: krótkie dni,
wartkie lata, kiedy życie wieczorem
wypada z torów języka i przystaje nieme
u naszych stóp, łasi się i je z ręki,
są do niczego. To tylko nerwy, mówisz,
a wokół szaleją bladolice burze
jak błyszczące ekrany.

Wychylić się przez okno, powiewając
białą chustką na piorunochronie?
Albo wycieczki, też coś, np. słynna wieś
lecz cóż znowu? Wieś
kaput. To już ostateczność, mówisz,
usiąść nad Biebrzą i moczyć kij w wodzie,
z butelką zamiast haczyka.

Przez całą drogę śpiewaliśmy psalmy.
Twój przegląd tamtych dni na palcach
jednej ręki, ile ci wyszło? Spójrz,
tęcze rosną w czterech rogach świata
kiedy wchodzimy lekko lewa prawa
w błękitne przestrzenie ozonu.
Nasze uśmiechy lecą w złote tło wieczoru,
nasze rozkazy śpią pod kopertami zegarków.
Płoniemy cicho jak torf.

Czas i pieniądz

Dzień stanął w mglistym cieple
Pisk dzieci w żeliwnej wodzie
Zgrzyt rozochoconych łóżek w suchych portach
Przeglądamy się w krótkich kałużach
Z rogami lamp na czubkach głów
Nasze pocałunki fruwią jak chude nietoperze
I każdy idzie w stronę swoich oczu
Kocich gwiazdek na księżycowych tarczach
Albo kryształków rosy na pajęczynach

Iluzja pościgu powstaje trochę później
Kiedy nuda kładzie sztuczne światło na szarzejącym mózgu
I zegar poklepuje po ramieniu
A sekundy są jak szeregowi szpicle
O nogach migocących jak tłum złotych
Czy jednak można nas o coś oskarżyć
O życie bez większego wysiłku
Dwa trzy tygodnie w tym samym kolorze
Rozdania bez znaczenia

Kiedy rozkładasz się pod obcym dachem
Skrupuły smakują jak opłatek

Lata posiłków w milczeniu i napięciu
Po słabnący uścisk sumienia na gardle
I zamierający wiatr z piątej pieśni piekła
I to że musimy zadawać sobie ból
Żeby wszystko szło śpiewająco

Rozmowa na wycieczce

Tyle tu stokrotek, zawilców, niezapominajek —
spróbuj zapamiętać, gdy śpiew znad horyzontu
ściera zmarszczki z czoła i kołysze pamięć
przed dryfem umysłu w słabym prądzie nocy.
Bo sny dosłowne jak świerszczyk zostały daleko,
gdzie płacz rewolucjonisty nad Heglem.

Ale kiedy to było? Kiedyś na każdym kroku
cios obuchem sensu, dziś tylko niuanse,
związki między kometą i wielorybami
w nurcie Sacramento, akwenach Alaski.
I sny raczej misterne, w których ona pragnie
pójść do spowiedzi, a ksiądz na to: „Szaleństwo —

jeżeli popełnisz drogocenny błąd
może się narodzi nowe społeczeństwo”.

Wydoroślałe jak Bóg w nawiasie ekologii
te sny, te marzenia wpierw kończą na bruku,
a potem pod mostem i na samym dnie.
Jak opłatek dzielimy los tych wielorybów.
Czyżby? Kiedy świat niby luźna twarz
powoli zastyga wokół czyjegoś uśmiechu?

Spacer przed siebie

Czy zasłużyłeś na górnolotną fikcję
tego życia bez faktów, ten wszędobylski sens?
O zmroku megafony wydają sekrety,
słowa gór ponad które nie wybiega słońce
i w rosnącym szumie nasłuchujesz orkiestry
karnawałowych festynów: żonglerzy i pajace
ruszają w arterie, dzwonki i czynele
brzęczą jak obłok jednodniowych muszek.
I serce robi w tył zwrot, i rozum idzie w rozsypkę,
kiedy świat ciemnieje w oczach, a one pierzchają
stropione, tulą się pod powieki albo chowają
pod krzaczkami brwi, bo mają dość już, dość.
Kiedy więc przestanę upadać w te światy?
Kiedy spuścisz z tonu i zaczniesz prząść cienko,
kiedy spróbujesz ułomnych pejzaży, kątem oka
spojrzysz, zbierzesz skrawki przydrożnych spraw,
znajdziesz punkt i z punktu zdejmiesz przyrodę
ze stanowiska. A potem na spacer

z kieszeniami pełnymi forsy i wonnych chusteczek
na wszelki wypadek. I wchodzisz w wieczór
jak w strzelistą aleję, w ciemności powietrze
gęstnieje od widm: ich głosy pulsują
niby rechot żab, wysoki hymn komarów.

Życie na Korei¹

Może już czas powołać się na szczęście,
może nie przyprą cię do muru, może nie staniesz
oniemiały z ustami spiętymi wstydem gęsto
tłumacząc się z anachronizmu. Tylko pomyśl:
twoje prędkie słowa są znowu przecuciem
upalnych żniw i tego zachwytu o zmierzchu,
kiedy ruszają tańce, oszołamiające
antycypacje tych zdawkowych miłostek
orzeźwiających jak cierpkie jabłuszko,
które zrywasz od niechcenia, przechodząc przez sad,
nadgryzasz i odrzucasz. I życie jest tak nagle
rozkoszonym przeciąganiem się, protekcjonalnym
ziewnięciem do słońca: już tu jesteś
staruszką? I wy, kochane ptaszyska?
Tak. Proponuję obrządek i pacierz,
i martwię się. Oby ci się udało,
obyś nie zemdlął na szynach, na których dni
grzmiały w błyszczących sleepingach,
a noce stoją w wagonach towarowych
pod sygnałem. Rozum troszeczkę przysypia,
zmysły zajmują kolejkę i znów biorą mnie
bardzo piękne sprawy: jabłka, woda, mleko,
przezyste powietrze. A kiedy pojmiesz,
że na ten czy inny kwadrans absolutnie
nie zasłużyłeś, będziesz mógł się napić,
pogruchotać sobie świat i nareszcie
zreflektować się.

Wiersz dla twojej córki

Mylisz się, kiedy myślisz, że nie zбочę z kursu,
jeśli przez kurs rozumiesz dryf dnia i sen kamienia,
bo czyjeś oczy odczepią czołno snu od brzegu
i ockną się w trzcinach lub na pełnym morzu.
Mam dryg do takich rzeczy. Rzeka
jest naturalnie bez powrotu i jeżeli rano
siądę jak rozmarzony osioł na brzegu morza, czekając
na misteria, to dlatego, że mnie poniosło,
to przez ten boczny dryf.

¹*Korea* — wg autora potoczna nazwa warszawskiego osiedla między ulicami Domaniewską a Woronicza.
[przypis edytorski]

Dziś w nocy znowu zakochałem się w twojej córce,
choć nie widziałem jej od czterech lat. Przez sen
nazywałem ją siostrą, ale gdzie tu logika i sens?
W żeglarskim kapeluszu z czerwonego plastiku
stała na brzegu rzeki, a wokół snuły się koty
o źrenicach jak zielone tarcze zegarków — rykoszet
myśli o czasie, różnicy lat, która nas dzieli.
Mam dość wyrzutów czasu ścigających mnie przez sen.

Ale mam też powód do nieukrywanej radości, że ona
nie jest moją córką, a ty moją żoną, ani siostrą
(ty byłabyś matką), etc. Wszystko jest fizycznie
niemożliwe. Albo i nie. Cóż, może innym razem

obudzę się na skałach.

Milenium

Już jest milenium. Już zawsze i wszędzie
pochody dziewcząt w bieli i chłopców w błękitach
przez złote miasta uśmiechnięte do pustego nieba.
Siódmego dnia deszcz ustał, powstały kolejki.
Szare chmury opadły jak muzyczna tapeta.
W ulewie piosenek stojąc tuż za tobą,
obserwując ludzi splecionych w sznury haseł
zastanawiam się, czy rzeczywiście stoimy jedynie
po łut szczęścia, po los pocięty na tysiące
kolorowych kartoników, pewnie całkiem na niby
jak szyldy „Alleluja” na blokach oraz transparenty
proklamujące radość i dożynki sensu. A ty?
„Jak ci Indianie senni wśród posągów,
zaspani na tarasach zarośniętych świątyń,
odkrywamy w błysku flesza, że historia to spektakl,
diamentowy pył na butach świętego aktora”.
Tyle ona. I już ani słowa więcej, nic,
żadnego pytania co robić w tych nowych warunkach,
żadnej prośby o ekspertyzę. Bo wszyscy
spodziewają się nieprzyzwoitości, jakiegoś „pomyśleć
i umrzeć”, albo odmiany przez zmysły, przez wszystkie
czy i w czym i z kim i co. Więc owszem, leć
pierwszym samolotem na Berdyczów lub Barwistan —
tam się spotkamy.

Jesień

Oni też przekraczają miarę, burmistrz i elita,
przysyłając listy pełne świetnych ofert
życia tak zawrotnego, że blask na peronach
gra jak pozytywka i ktoś parska śmiechem
kiedy wiatr podrzuca liście i odsłania krew,
którą skryło złoto jesieni. I chce się płakać,
bo cierpimy oszczędnie pośród znacznych ofiar.

Ale ktoś komuś tłumaczy, że żyje zachłannie,
przeskakując z nocy w pospieszne poranki,
a ktoś tłumi skowyt, wkładając wieczorem
ironiczny uśmiech jak dwurzędowy garnitur.
I tylko jesienią zdołasz poznać ideoplastykę
snu, co wyrasta na zboczach powietrza:
*in girum imus nocte et consumimur igni*²
(w koło idziemy nocą i trawi nas ogień).

Postowie

Niedługo można żyć z jednym słowem w ustach.
Nawet na poligonie lub w trakcie bankietu
kiedy wiatr przyniesie złomki głuchych rytmów
sierżant i orkiestra zagłębią się w sobie
nie pojawiwszy melodii w czymś, co niby echo
wibracji strun — włókien świata — tak ich niepokoi.
Tę muzykę z wnętrza ziemi czują też kobiety
odarte z odzieży na śniegu lub w altanach
gdy sekundę przed gwałtem omiatają myślą
inicjał miłości na końcu lunety. Ludzie,
o których mówię, odchodzą z pustymi rękami
związli niby supły na pięciolini napięcia,
odurzeni przez deszcz, co zniewala, by mówić
zawsze chcieli żyć z jednym słowem na ustach.

Wiersz dla Oberona

Rozwinąć wrażliwość na te nagle
skupiska znaczeń w mętnej strudze
zdarzeń: zapisz, to praca domowa.
Starorzecza, rowy irygacyjne, panika
chmur, liliowych przed burzą, młodzież
z Czantorii, wioski, która ma niezłą
lunę w nocy, może ciut za światową.
Dokazują wieczorami, łowiąc małe rybki
w oczkach pozostawionych przez rzekę
na polu: spinning, żaki, sznury.
Chociaż lato nie znęci w nas słońca.
Błyszcz słońca nie złapie w nas lata.

Potrzebne mi są twoje oczy. We wtorek
mieliśmy zielsko w śrubie, w środę
poszedł klin. Nazajutrz przyrumienione żeberka
chmur, a w piątek „co to, to nie”,
rzekł księżyc i wszedł na nieboskłon.
Cuda. Siwe deszcze. Rejterada liści.
Przyszedł wiatr i łódź zanurzyła się w trzciny.
Ustał wiatr i z trzciny wyfrunęły komary —
bierze chętką, żeby się zaszyć w głąb koi

²*in girum imus nocte et consumimur igni* (łac.) — tekst przetłumaczony w kolejnym wersie; zwraca uwagę fakt, że jest palindromem, tj. od końca czyta się tak samo, jak od początku. [przypis edytorski]

pod koce, albo stać na pokładzie
z głową w chmurach.

I widzisz: my, ludzie, po stokroć będziemy
grali w te proste sprawy, których miłość
nie umiała załatwić. Np. rzeki
dążą do coraz większej prostoty;
nie musisz wyciągać żadnych wniosków.
A poza tym, po staremu: łabędzie
żebrzą o chleb i burze mkną jedna za drugą.
Dni niby wygrane na niemych klawiszach
usychają sznurami jak grzyby pod piecem.
A czasem jak elfy pod zielony wieczór
na twardych, piaszczystych łąkach nadnarwiańskich
pośród świeczek jałowca lub gdzieś pod Uranem —
Oberon, Oberon. Pora iść na spacer.

Poszedłeś na spacer w pole gwiazd.
Sieć gwiazd ma za duże oka.

Śmierć człowieka nieuformowanego

Jest twoja: po prostu uśmiechnij się
do potrzeby uproszczeń, zatrzymaj ciało
poruszając duszę, bo ten zawrót głowy
jest inny niż kiedyś: nie ciężkie sny zimy
jak loty narciarskie na mamuciej skoczni
ani impet wiosny: raca, szarfa tancerki
strzelająca w mrok, po której sunąłeś
niby po zjeżdżalni wprost w baseny lata.
Jak długo można wędrować po linie?
Boksujesz się z cieniem i po silnym ciosie
lecisz koziołkując w przestrzeń międzygwiezdną —
szepcąc świata za tobą jak zdyszana lawina.

I odpadasz od spraw, co poczniesz bez spraw
sam jak palec na lodzie? Nasza mowa brzmiała
„tak, tak” w dobrych chwilach, a gdy było gorzej
„cokolwiek, gdziekolwiek”. I jest coraz gorzej:
przesiadujesz w kurzu przy podmiejskim murze,
podrzucając kamyki jak zbędny zalotnik,
patrzysz w czyste niebo, wspominając chmury,
nawałnice dawnych spraw i gromkich sensów.
A nocą twoje światło ściąga świat i nic —
tylko pukanie ćmy w szybę i świerszcz
jakby ktoś stąpał w butach z klamerkami.
Chciałbym paść ofiarą dowolnej intrygi.

Esej o chmurach

Fragmety obcych światów i te znane światy
w epizodach obłoków, co uczą bierności i
wrażliwość na szczegóły: „zapach słoni po deszczu”,
cienie chmur i woń światła na mokrych źdźbłach trawy,
mądra, dziecięca radość skryta we wzruszeniu,
z jakim podsłuchałeś piękne, obce nazwy,
góra Hancock, Wāhiti Rangers, miejsca objawień?
„Powinniśmy naszej mowie nadać obce brzmienie —
ludzi olśniewa to, co przybywa z daleka”.

A kiedy w letni ranek pijesz piwo w barze
i cieszysz się, że są tęgie beczki, grube kufle
strzelające w blat, błyszczące pipy i mistrzowie
nalewania, i piana, którą można kroić żyłką
lub zdmuchnąć jak oblok dmuchawca —
pomyśl o chmurach, podnieś wzrok i długo
patrz w chmury, aż zakolysze się świat.
„Jaki będzie miał smak ten nowiutki świat?”
Uderza do głowy jak piwo w upalny dzień.
Gorycz, słodycz, gorycz i ulga radości
jakbyś słońce jak akron zażył i gardło wyleczył
spuchnięte od nadmiaru oczywistych kwestii —
precz od wszystkich słońc, a zostają chmury,
wstęgi, kłęby pary i formy powietrza
o ruchu tak pozornym i zawsze w milczeniu,
najpierw światło i wiatr, a potem koniecznie obłoki
nie jako dekoracja lecz proste przesłanie.
Chmura przyszła mi na myśl i zaćmiła grzechy.
Okno musi porzucić ostre kontury rzeczy
i spocząć w wiedzy przestronnej, oddechu obłoków.
„Trzy dni brnęliśmy przez gęste opary,
szron kleił oczy i mroził oddechy,
choć słońce stało tuż za ścianą bieli.
Szliśmy po grani, a potem po tęczy
niby na nartach wprost na łeb na szyję
przez strugi blasku zjeżdżaliśmy chyżo
w szyby powietrza, by upaść za chwilę
w kołdry ze śniegu, co kaleczą ręce.
«Poznaj fizykę tych kopalni wiatru»,
rzekł Mistrz, wylazłszy spod białego puchu,
«wszak każda rzecz ma miarę, liczbę, wagę.
Kropelki wody i kryształki lodu,
zmrożenie pary i jej kondensacja,
wślizg mgły ku niebu, oto tajemnica
wielkich pejzaży sadów troposfery.
Stratus, Cirrus, Nimbus są niby owoce
i tłusty Cumulus plus modyfikacje,
Cumulonimbus albo Cirrostratus.
Innymi słowy: kłębiaste, pierzaste,
brzemienne deszczem lub złożone z warstw,
wysokie, niskie, jak góry lodowe,
ślubne welony lub ławice ryb.
Lecz strzeż się gry kształtów i zwodniczych barw,
aby twój umysł nie był jako chmura

lub gwiazdny pył z głębi stratosfery —
obłok świecący bądź iryzujący.
Wspomnij Hamleta: niejednego chmury
zwiodły z drogi na dzikie manowce»”.

Jako pierwszy Luke Howard ponazywał chmury,
Goethe, Dahl, Constable przejęli naukę,
lekkomyślny Forster badał je w balonie,
Thomas Ignatius Maria, wydawca Katulla.
A wcześniej wielcy Francuzi, Deluc i Bertholon.
Goethe prosił Prellera o szkice obłoków
i mówił w Marienbadzie: „chcę poznać ruch myśli”.
Gilbert White pisał „Natural History of Selborne”.
Constable darzył uczuciem błogie peryferie
i tak to się zaczęło, od bylejakości —
„moja sztuka znajdzie temat pod każdym
żywopłotem”, żyję w sąsiedztwie chmur,
oswajam obłoki. „Wiele nieb zrobiłem
i świetlnych efektów”, bo czym innym ziemia
jeśli nie podstawą, marginesem tej rzeźby,
niewielkim ułamkiem — 7/8 to chmury, czubki drzew
i chmury, wąski pas ziemi na dole
a reszta to chmury. Malował wibracje powietrza,
aby ćwiczyć pamięć, rozwieszał ptaki w obłokach,
aby ocalić znaczenia, a przecież mówiono w Paryżu,
że jego obrazy „nie znaczą”, w Anglii,
że są „bez duszy”. Naprawdę są bez duszy —
naukowe, przypadkowe, oschłe prezentacje
bez krztyny ludzkiej treści, w nieznanym języku,
percepcje bez refleksji i przesądu nastroju —
nie są konkluzją konkluzji, ale ciągiem wrażeń,
inspiracja, medium, efekt łączą się w jednym obrazie
w chwilowym bezruchu, w arbitralnych ramach,
które wystarczy odjąć, by chmury ruszyły na przelaj
i rozniosły ten świat. Ślaniał się z pożądania.
„Zerwać zasłonę zażyłości z rzeczy, obnażyć
ich piękną obcość i odmienność — te srebrne chmury —
aż nie mogę pisać — jak często wzdycham,
pragnąc ich białej ciszy i czulej procesji dni
jak marszu obłoków, bo chodzi o jakość dni,
ojakość pogody ducha”. Bywają lżejsze niż cień,
wątlesze niż mgielka na lustrze. „W południe
błyszczące chmury pełne deszczu i gradu
smagają biczami cienia lasy, łąki, wzgórze,
wyostrzają zieleń i żółtości”. Czy chciał namalować
historię naszego klimatu? „5 września o 10 rano, 1822,
bystry wiatr ze wschodu — bardzo jasne chmury
mkną tuż nad ziemią i te groźne kłaczki
zwane przez żeglarzy złymi zwiastunami. Coś
wisi w powietrzu. Uwagi o chmurach
złożę w spójny wykład: wygłoszę go w Hampstead
latem przyszłego roku”. Niestety, tekst odczytu
gdzieś się zawieruszył.

Przyszłość szumi spiętrzona przed pustką jakiegos dzisiaj,
formacje chmur na niebie jak boskie graffiti
zwiastują jakieś jutro boskiej meteorologii. Nasza gnoza

zaczyna nabierać rumieńców — jedna, dwie idee —
pies, przewodnik, laska — wystarczą, by obrać kurs
i to jeszcze jaki. Wiesz już teraz, Constable?
Kurs zupełnie dowolny poprzez kontemplacje
chmuroobrazów wiedzy, bo po geologii,
po archeologii i po filologii meteorologia
bierze górę — bujamy w obłokach. Spójrz
jak dryfujemy w stronę nowej ery,
niektórzy idą tyłem, inni mrużą oczy i nikt
dobrze nie widzi, ale słońce rośnie
aurą, luną blasku obcy smak nadając
rzeczom i uczuciom, zwłaszcza nadużyciom
tej nowej radości, której przykazaniem:
nie dramatyzuj chmur, wszak grecka tragedia
nie ma nic wspólnego z tym hedonistycznym kaprysem
niebieskich migdałów, obłoków — piosenki pękają jak race,
fajerwerki, błyskawice, barwne odłamki wzruszeń
pełgają nocami po niebie na przyszlą pogodę.
I chyba można wreszcie usiąść przed telewizorem
z ulgą zamknąwszy książkę lub patrzeć przez okno
z czułym zrozumieniem, albo iść do pracy,
napić się z kolegą, pójść na festyn, słowem,
zamknąć sprawy, oddać się komuś dla hecy,
krawat mieć ślicznie zapięty i wszystko
wedle pozorów tłumaczyć, nie ceniąc niczego,
co nie jest przyjemne. Ciało
to ostatnia przykrość, od czasu do czasu, uwikłane
w algebrę potrzeb niby wieczny uczeń
dalej w podstawówce, choć dorosła dusza
przestudiowała wszystkie fakultety, uschła
na tycią lupinkę, w której niby próchno
tli się leniwie wonna miazga wrażeń
równie jałowych, co ekscytujących
i bezosobowych. Kto handluje duszą?
Historia, religia, poeci, ci, co miotają znaczenie
w spazmach bezsilnej powagi, lecz oto kończy się feta,
po uczcie zmywanie znaczeń, służba myszkuje wśród resztek.
Gaśnie noc, gwiazdy odchodzą w niepamięć,
rzeczy kwitną do wewnątrz mową niepojętą,
kwiaty nic już nie mówią i milkną mornele.
I tylko ten wiersz jest anomalią w naszym gorącym klimacie
przestróg, egzorcyzmów, przykazań. Idź, idź
dokąd poszli tamci, w grób usypany w powietrzu³.

Może już dorastamy do niuansów powietrza.
Pomyśl o obłokach, o tych, co idą przez życie
swobodni jak chmury, mistrzowie sprezzatury⁴ —
Petroniusz, Mercurio, w pantomimie rozkoszy —
„oby śmierć, choć wymuszona, robiła wrażenie
przypadkowej”. Piękne spektakle samobójstw
pośród nieważnych rozmów, urok dezynwoltury —
„dał sobie przeciąć żyły nie mówiąc nic poważnego”.
Tyle Tacyt. Chodzi o tlen dla ducha. Rozkosz,

³Idź, idź dokąd poszli tamci, w grób usypany w powietrzu — jednocześnie nawiązanie do *Przesłania pana Cogito* Zbigniewa Herberta i *Fugi śmierci* Paula Celana. [przypis edytorski]

⁴sprezzatura (wł.) — termin z *Dworzanina* Baltasara Castiglione, oznaczający swobodę, lekkość i działanie w taki sposób, jakby wykonywana czynność nie wymagała wysiłku. [przypis edytorski]

smagły mistrz z Grecji, czule pożądanie,
nie czarny wiatr z piekła, ale przyzwolenie
na lot serca w pochmurne niebo wrażeń wolne
od władczych fabuł celu i którejs przyczyny,
z dała od ludzi ciężkiego ducha i ciała
zgubionych w labiryncie z pojedynczym środkiem —
jakąś gołą Ariadną, krzyżem, smokiem, potworem
polityki, snami o wojnie, wiecu, tych jednoznacznościach,
które w każdej chwili mogą nastać jak rządy
Franciszka Józefa. Labirynt jest acentryczny
nawet tutaj, w Polsce. Baw się i trzymaj fason,
zadzwoń pojutrze wieczorem —
„Tu Mistrz mi przerwał, pokazując dłonią
promienny pochód ciężkich cumulusów
i rzekł ze smutkiem: «Kopalnie powietrza
to szyby głosów, chóry słów zwietrzałych,
co wrócą deszczem — zbyt ciężkie, by fruwać,
wejdą w krew żywych. *Die Rede geht herab,
denn sie beschreibt*⁵. W kłębach, które widzisz
są piętra sonetów, ody i powieści,
zuchwałe rytmy, ronda i kancony;
ten wiotki cirrus to dusze scholiastów.
Od pierwszej chwili oddychasz słowami,
obieg słów szczelny, oto tajemnica
ludzkich poruszeń; tak lalka na sznurku
ucieszenie drży, jak my na błahych słowach.
Wszystko to cytat, obłok cudzej mowy,
słowa, co padły i myśli zwietrzałe,
lustrzany obraz nieszczęsnego świata
w lotnych chmurach: wieczna spekulacja».
Gdy kończył mówić, całe białe pole
drgnęło tak mocno, że kiedy przypomnę,
dziś jeszcze dusza kąpie się w mozole.
Z ziemi łez wianie buchnęło ogromne;
przeleciał po niej gromu błysk czerwieny,
i omdlały mi zmysły nieprzytomne —
i padłem, jako pada człowiek senny⁶”.

Gwałtowna moc zanikania

Ale czy niebo nie żałowało razem z nami
sugerując, że nie jest niczemu winne?
Czy jego gniew nie był jakby nigdy nic,
jak nasze uniesienia, znaki rozkoszy rozświetlające
upalne południa? A jednak jakby nigdy nic
wszystko stoi pod znakiem, jak gdyby zawsze nic
życie rzuciwszy miasta rozkłada się w słońcu na plaży
beztrosko lustrując te biedne dziwolągi,
które w ciszy wyszły na rzekę: katamarany
zrobione z szaf, stare szalupy, czółna rybackie
przerobione na żaglówki i nawet ten mały dźwig wodny

⁵*Die Rede geht herab, denn sie beschreibt* (niem.) — mowa się zniża, ponieważ opisuje (Johann Wolfgang Goethe). [przypis edytorski]

⁶*Gdy kończył mówić... jako pada człowiek senny* — zakończenie III pieśni z części „Piekło” *Boskiej Komедii* Dantego w tłumaczeniu Edwarda Porębowicza. [przypis edytorski]

wzruszający miejscowych do łez. Czy zatem ziemia, czy niebo nie mogło wytrzymać upału i bezkarnej wszędobylskości drobnych, ułomnych rzeczy i kto pchnął sztorm, aby nam przypomnieć, że wszystko zależy od jakości troski, z jaką się pochylamy nad przedmiotami? Bo ho ho, taki wiatr mógł ponieść nas daleko i rzucić na przemiał tych, co trzymali się nurtu, a roztrzaskać o brzeg tych, którzy z nurtu zeszli. I jaka przebiegłość: słońce przed burzą było takie ostre, że mogło skaleczyć serce i wielu już marzyło o wakacyjnej przygodzie, aby w końcu wpaść w kolosalne oko nieba. Powieka zatrzaskała się. A więc jednak niebo? Ale przecież nic nie wołało o pomstę kiedy nagle stężała zieleni i wiatr obrzucił rzekę szybkim deszczem, nie zostawiając nam nic oprócz złudzeń. Tylko iść, czepiając się drzew jak want tonącej arki i radzić tym, którzy zastygli w campingowych domkach, żeby zamykali okna i kładli przedmioty w rzadkie symetrie na odświętnych stołach, aby ich porządek zaskoczył mordercę.

Czym jest poezja

Zapewne nie jest strategią przetrwania, ani sposobem na życie. Twój upór jest śmieszny, kiedy wspominasz zakłete jeziora, szumiące bory i głuche jaskinie, w których głos idzie echem i pewnie trwa wieki. Groty Sybilli? Ważne są liście i jeszcze chyba rym „głos — los”, bo głosy prą na świat i losy właśnie liściom powierzają miana. Ale spróbuj je schwytać! Tylko spróbuj dotknąć ziemi i polecieć dalej jak płaski kamyk po wodzie — ile razy? Pięć czy dwanaście? Seria wierszy i odbić, seria liści, a przecież wszystkie kamyki i liście leżą jeden przy drugim w odwiecznym porządku, kształty nieprzejrzyste. Zatem jest jaskinia albo tyci pokój. Ale ten podmuch! Przeciąg, gdy otwierasz drzwi i wiatr rozprasza liście, a świat staje dęba i słowa idą jak confetti w rozsypkę. Lecz nie patrz wilkiem i nie odchodź jeszcze z odętymi ustami. Żadnej zwłoki nie żałuj, bo może sama zaśpiewa? Może nagle powie jakie są ludy i wojny, jakie mozoły i rejsy, jak sprawy stoją, a jak interesy?

Wiersz dla Becky Lublinsky

Więc tyle masz ze wszystkiego, co z niej — fragmenty,
czarne skrzynki, kadłubki znaczeń niby hasła
szeptane w grze w głuchy telefon lub coś
jak „ciepło-zimno” z cienką chustką na oczach.
Czy z Cypru jesteś, z Pafos czy Panormos —
nie wiem gdzie mnie prowadzisz, grając
na moim słowniku. Czy na świat?
Te rozkołysane nazwy są jak światła na wodzie
(sznur wiślańskich wianków) i system z pewnością
nie uchwyci widma, liści oliwek na wietrze,
nikłych blasków i cieni migotliwego świata.
Tak jak zawsze pod wieczór, kiedy zdajesz sprawę
z miłości, subtelnych zajęć, niezbędnych sprawunków
i widzisz, że zawodzi porządek analogii,
bo masz tylko opary, rój mgławic, karuzelę znaków
o środku wszędzie i obwodzie nigdzie jak karuzelę
luster odbijających światło, które nie ma źródła.
I można chyba pokochać cypryjską dziewczynę
albo inną z Pafos lub nawet z Panormos,
bo taki mały ten świat. Lustra
ustaw na brzegu, ona z morza przyjdzie
więc wystarczy morze położyć na brzegu świata
i krzyk czarnego koguta rozpiąć nad płycizną,
a z luny wodnego pyłu wyłoni się postać
i w przestrzeń wzdłuż morza wejdą inne dziewczęta.
W końcu wszystko jedno, który fragment pójdzie
na pierwszy ogień; starczy byle słowo albo i sylaba,
żeby dzień zacząć na dobre czy złe, a ten smutek,
który cię bierze wieczorem, jest może po prostu
świadomością, że znów jedynie kurz ci został,
pył z paru wydarzeń, kilka pajęczych nici,
które jeszcze trzymasz w palcach, splątane
i już niezdolne wprawić w ruch niczego.
I przez mój smutek przemawia owo
„spaliłeś mnie”, skierowane do świata
na poły ostrzeżenie, a na poły wdzięczność,
bo kiedy odchodzę w sen, czuję już tylko
słabnący smak dnia na podniebieniu i dym
zasnuwa mi oczy, a w palcach obracam
jakby grudki żużlu — wspomnienie tego,
czego dotykałem. Wszystko jest dym, jak mówią,
albo trochę koniecznej organizacji plus żużel,
tony żużlu. Dlatego też mówią, że dobrze umierać
wyczerpawszy energię, bo to gwarantuje,
że się po śmierci nie będzie straszycie —
żadnych scen i ekscesów, ani żadnych wkroczeń
alternatywnego świata jak ta biała koza
mająca na papirusie oddanym przez piasek.
Tę białą kozę odsyłam ci uprzejmie,
nic mi bowiem po niej — stoi w pustym polu,
gasząc wszystko wokół. Odsyłam ci kozę
jakbyś odesłała „telewizor”, „gazetę”, „książeczkę wojskową”
i odprowadzam inne słowa, które dajesz i zabierasz

jak dziecko pokazujące zabawki przez szybę
małemu sąsiadowi z przeciwka, te arkana
rosnącej duszy: zobacz, wstydz się i Kochaj.
Muszę je pominąć. Zaiste, trzeba ustalić
czy ziemia jest płaska, czy zaokrąglona
i potem pracować w świetle nieuchronnych faktów
wymownie milcząc o tym, czego się nie da powiedzieć.

„Požadająca miłości *geistreiche Frau* (bohaterka ducha)
z wycieczki artystycznej przywozi ze sobą
młodzieniaszka”. Coś podobnego. Ten piknik
to zwrot w twoim życiu, sprawa śmiertelna:
zegar przyspiesza biegu, piasek kipi z klepsydry
i szumi o spoczynku sypiąc grób, opuchliznę ziemi.
Wciągnij mnie w wir wieków. Nie mów, że bym wybrał
„młodsze łóżce dla moich żądź”, bo z tobą chciałbym
dzielić życie, choćby przez mgnienie słowa. Brać cię
na język jest przecież tak cudownie
jak smakować kolorowe piguły lodów
w upalny zmierzch, kiedy akcja serca właściwie
kończy się nieznacznie, a kłębki nerwów
rozwijają się w omdlałe pąki. I głowa cięży
od widzeń, a ty pytasz dlaczego
tak mało mówimy o bezspornym szczęściu,
które przecież waliło się na nas jak mgła
spychana przez wiatr w doliny, jak morze
co się wspina, żeby zajrzeć w głąb wyspy
zapomniawszy, że nie ma już wyspy, bo połknęło ją morze
i, jak okiem sięgnąć, wszędzie — szczęśliwa karuzela fal?
Czy straciłaś tak grunt pod nogami, czy byłaś tak bardzo
unicestwiona przez szczęście, że poszły w niepamięć
wszystkie ciężkie słowa, z których żadne nic
nie ukrywa ani nie mówi wprost, natomiast każde
znaki daje? Czy byłaś szczęśliwa na tej majówce z Faonem
brzemiennej w skutki? (Jakiś reżyser podbiłby wam oczy
zachodem słońca, bo ta sprawa między wami
zepchnęła cię w końcu z leukadyjskiej skały.)
W nawias nieba wzięta, po skoku z bieli w biel
wniebowzięta zostawiłaś wklęsłą przestrzeń,
skłębione powietrze miękkie jak puch, jak pościel,
zaproszenie do miłosnej gimnastyki i wielosłownej
kołysanki, słowem, cudzysłów i nawias.
Tak jest zawsze: cudzysłów, a potem nawias.
Najpierw cudzysłów krążący po świecie,
nawet nie fotografia, ten cytat z natury,
ale umowny wizerunek, cytat niedokładny —
„fiołkowowłosa, czysta, uśmiechnięta” dziewczyna
twoja lub moja, bądź sąsiadeczka zza ściany
spędzająca sen z oczu chłopca, tego pierwszego krytyka,
Faona, „światlistego”, który oszołomiony pięknem
ucieka na Sycylię. Posłuchaj Melitto,
nic z tego nie będzie oprócz twojego imienia
wątlejszego od „Mnasidike”, lżejszego niż „Gyrinna”
(„zgrabniejsza jest Mnasidika niż delikatna Gyrinna”),
westchnienia sylab, które wzywały Faona
w jakąś gorzką noc i przepadły bezkształtne
i niedorzeczne, o, nie jak słowa tamtej,

które mruczę pod nosem, ten język aniołów,
którym zaczynamy mówić, gdy widzimy „wszystko
we wszystkim”, jak chce Lichtenberg.

Atoli każdy system jest prostym przejawem
transu serca, które łatwo zrozumieć, szlachetne,
bo będzie to dla mnie tak długo jak pragniesz
odbicie światła. Zaśpiewaj nam najbardziej,
o serce, teraz, kiedy ponownie odkrywamy ciało,
odzyskując ideał misternego szczęścia. Czyż nie?
Czy nie rzekł Lichtenberg, że „świat stanie się jeszcze
tak wykwinny, że równie śmiesznym będzie wierzyć w Boga,
jak obecnie w upiory?” *Czy gay scene* w Londynie
nie jest w awangardzie wrażliwości, czy najlepszej muzyki
nie robią weseli dziwacy, jak gdyby perwersja ciała
cudownie zniekształcała duszę, pchając ją
w nieprzeczuwane rejony wymyślnej subtelności?
(Naręczony przejął coś z piękna spotkania
kominiarza i pastereczki na stoliku pod lustrem).
Straight scene bardzo nudzi. Ich antyczne kluby
podupadają, pełne ziewających par, bo oni
już wiedzą, że znaleźli się na bocznym torze
do kupy z nadąsanym kościołem, ideologią,
„komunistyczną pyszałkowatością” i dydaktycznym
show-biznesem. Ich *art world*
idzie pod młotek. Pozostają jeszcze proste obowiązki,
Morlokom, przedłużenie gatunku. Ależ ten świat
zrobił woltę! A było to takie proste:
znaleźć się w epoce zupełnie post-poważnej,
postlogicznej, postwerbalnej, posthumanistycznej —
wystarczyło odkryć świat za zasłoną powiek,
w zamkniętych oczach, jak Beethoven usłyszał muzykę
odciętą od uszu. Opadły powieki, zgasło światło.
Znieruchomiła pamięć. Świat zamarł
zwinęty w kłębek mroku, a później figlarnie
rozwinął się w łamańce. Czy ty
to przeczuwałaś? Ty i cała ferajna,
którą wyobrażam sobie teraz, tańcząc w klubie o ścianach
wyłożonych monitorami wysyłającymi w przestrzeń
setki alternatywnych światów? Zagrał
zmysł możliwości i zagrał zmysł dada,
poeci znów okazali się prawodawcami.
I trzeba zrozumieć hedonizm, twój dom kultury, Mitylene,
twój nocny klub pełen zakochanych dziewczyn
studium pieszczoty i muzykę. Widzę je
„strojne w kwiaty”, „czyste i urocze...
z drogimi mitrami złotoczerwonymi nad czołem”
na wonnych poduszkach, z odrzuconymi ramionami,
w chłodnym zapachu mirry i libańskiej kassji,
w cichej muzyce, słodkim śpiewie fletów.
Ta leży z szatą podciągniętą pod szyję,
tamta zbiera „rosę lśniąca w płatkach
rozchylonej róży”. Czy ten autotematyzm płci
nie jest czczą, czystą sztuką jak szachowa zagadka?
Kto mógłby się dziwić twojemu smutkowi,
z którym żegnasz te, co idą rodzić dzieci?
Chociaż Hymen ma swoje zalety i np. pociąga cię

pewna estetyka, powiedzmy, ta biała poduszka
 zachęcająca dziewicę, by złożyła na niej
 swoje twarde pośladki, jak płótno zapraszające
 odprysk niepowtarzalnej czerwieni jak cyklamen
 lub wstążka od orderu, finał
 pospiesznej zabawy w pierwszą miłość
 kładącą kres sztuce. Niektóre nie krwawią,
 niektórzy nie ejakulują, ale ślub pozostaje
 jako przemiała konwencja.

I słowa są konwencją, słowa jak złote kwiaty
 piaskownicy wyrosłe na krawędziach świata
 lub kubki rzeźbione w złocie, wypełnione nieznanym napojem.
 Świat w nich się przegląda, bez skazy. Czy świat,
 który spada z leukadyjskiej skały?
 Codziennie świat spada z leukadyjskiej skały,
 sformatowane dni idą pod nowy zapis,
 pracują główce, kasują i nagrywają,
 czasem piasek ocali strzep zapisu i poda
 dalej jako cytat, lekcję, algorytm,
 ściągawkę, kawał, hasło w grze w głuchy telefon —
 tak się obraca świat w nierzeczywistość,
 sztuka zwycięża. Estetyka ginie, bo jest jak nauka
 chodzenia i oddychania; jesteśmy codziennie nowi
 w wyszukanych obrzędach szczęśliwego życia
 o tyleż intensywniejszych w Adenie i Harrarze
 niż w *Iluminacjach*. Karnawał trwa — świat
 ocieka muzyką i czyż to nie jest lekkość
 immanentna w tym, co skomplikowane i wyrafinowane,
 podczas gdy rzeczy proste z dnia na dzień stają się
 coraz trudniejsze? Kończy się era tańca, zaczyna
 czas lotów. Bo mówisz, że wystarczy tchu nabrać w piersi
 i zawrócić sobie w głowie, żeby daleko odjechać —
 chociaż niekoniecznie „w nowe uczucie i hałas”.
 „O zamki! O sezony!” Jakże my potrafimy
 studiować szczęście w ciszy lotu
 ponad kolorową architekturą Paula Klee,
 która nagle stała się jedyną architekturą marzeń
 mówiącą dziecinnymi barwami wokół samochodów
 coraz szybszych, w których wygodnie rozparci
 wzbijamy się lekko w powietrze! Bez kamiennego snu
 o sile ciężenia, niemi, zbawieni od słów,
 a więc wolni od całego świata, który błyskał w nas
 tyloma językami! Czy jest jakaś alternatywa?
 Po gapowatym dzieciństwie — nerwowa młodość, potem
 kołnierz na uszy i znieczulające podróże,
 żeby szybko przejść przez czas umierania bliskich,
 żeby wykroić trochę czasu dla własnej bez troski
 przed procesem? Starość w ubożuchnym kraju,
 gdzie zza pozorów importu wyzierają zniszczone twarze?
 „Historia”, na szczęście, „osiąga niemy koniec”.
 Chociaż są jeszcze frajerzy, co mówią: „życie
 cię nauczy, życie ci jeszcze *pokaże*”.
 Też coś.

Dzień miękko ląduje w mroku
prześlizgnąwszy się nad smugą kolorowych światel
wyznaczających pas ku ciszy i snom.
Milkną maszyny, noc wstaje z palcem na ustach,
noc św. Bartłomieja, albo inna noc,
o której będzie głośno tak jak jest głośno
po codziennej katastrofie, kiedy ludzie i mrówki
biegają bezładnie, skandując sensacyjne wieści
szyframi, z których kpi zaraz zlekceważony
wrak — nierealny jak pożar widziany w dzieciństwie.
Dzień miękko siada w mroku
niedbale napomknąwszy o kilku prostych sprawach,
które gasną jak ekrany telewizorów.
Zasypiają wieże kontrolne i radary,
prerażony umysł gubi się wśród fikcji,
ból tonie w morfinie, troska śmieje się do szklanki,
spocony kochanek odwraca się do ściany
po pięciotysięcznym wytrysku i ma wszystkiego dosyć
i tę błogą pewność, że życiu sprostali skutecznie,
amortyzując je delikatną jak mgiełka gumą,
jagnięcą błoną lub precyzyjnym krążkiem.
(Nie mamy nic przeciwko temu). Omdlewają nerwy
wytarte głęboką pieszczotą i czy właśnie
nie o uwolnienie od nerwów nam chodziło,
czy nacisk jaki kładziemy na dziś, tu i teraz
nie jest próbą rozciągnięcia „teraz” w beczas
barwny i wesoły jak karnawałowy balonik?
Bo, jak mówi Rilke, „dostosowała się tam istotnie
życia niebiańska połowa do półkulistej misy
istnienia, jak dwie pełne hemisfery łączą się
w jedną świętą, złotą kulę”. I dalej: „masywna
konstelacja straciła ciężar i uniosła się w przestrzeń”.
Można więc przedłużyć stadium estetyczne
w nieskończoność, rozciągając je wzdłuż i wszerek,
z wielokrotnością wrażeń. Czy jest opozycja?
Ci, co mówią: „lata iluzji, lata kryzysu, lata wojen”?
Ci, którzy lgną do życia zdegradowanego,
uszczypleni w nerwy, słów, co „mają ciężar losu”?
Bo przecież są ciche upomnienia bomb, aluzje
terrorystów i ulicznych proroków, a ponad wszystkim
jeszcze płasza balon polityków — sale konferencyjne,
rezydencje, nadęte pałace pełne luster
i małych mikrofonów, co zawzięcie pracują
nad szumem deklaracji i proklamacji
napełniających świat szeptem *flatus vocis*⁷, *flatus vocis*.
Nie będzie płaszał długo. Nudzi
ta obowiązkowa opozycja. Życie?
Niech nasz komputer zrobi to za nas. Polityka?
Tylko patrzeć jak dygnitarze zejdą
ze stołków i przyjdą potać tam,
gdzie David Bowie montuje dla wiernych
ołtarz z aluminium, szkła, światła i dźwięku.
Ha, chociaż taka zwyczajna młodzież
pewnie zawsze będzie wołała faceta z gitarą,
który się zabija. Tutaj, powiedzą, tu jest autentyczność,

⁷*flatus vocis* (łac.) — nazwa bez odpowiednika w rzeczywistości. [przypis edytorski]

cudowny chłop, który dużo wiedział i naturalnie
 nie mógł już wytrzymać. Im jest zawsze mało,
 oni zawsze będą w beznadziejnej sferze
 „musisz być sobą”, frajerzy, jeszcze nie odkryli
 czaru fałszerstw i przebrań, jeszcze nie dostali
 anonimowej pocztówki z napisem: LIFE IS NOT
 A CABARET (*It's a fucking circus*), jeszcze nie szli drogą
 do Cytadeli, nie stali na pięknych schodach
 Charlesa Mackintosha w podmuchu światła
 wydymającego balonowe spodnie, unoszącego ich
 do Musee Horta, albo choćby (niespodziewanie)
 pod Castel Sant'Angelo, gdzie romans
 byłby o tyle bardziej staromodny i amerykański.
 Oni powiedzą: „Ponosi nas cokolwiek halucynacyjna
 skłonność ducha, czy zatem seks i nekrolog
 są jedynymi sposobami, żeby życie trzymać krótko?”

Dzień miękko osiadł w mroku
 i zmierzchającemu światłu znów się udało
 zaczarować świat. Delikatne cienie,
 gęsto rosnące, obejmują sprawy i rzeczy,
 wydając nas snom i fantasmagoriom jawy.
 Szał, zwielokrotniony w lustrach, nietoperzowy taniec
 Loie Fuller, ta zamieć skrzydeł, uzyskuje
 dwuznaczną autonomię. Nazywają to ignorancją,
 ale czy można zaufać błaznowi,
 mistrzowi mowy dwoistej i królowi tamtego świata,
 w który się wchodzi przez wrota z kości słoniowej?
 O córo Afrodyty uwodząca śmiertelnych.
 Czy to możliwe, że jeszcze tęsknię do twych lat
 dziewczęcych, kiedy siedzę tutaj przed snem i snuję
 opowieść? Język umie chodzić jak maszyna do szycia
 i kiedy jedna tkanina pruje się, druga
 spływa obfitymi fałdami i właściwie o co
 chodzi? Sny przypominają te zmierzwione chmury,
 kładą fresk na strop czaszki i czoło
 marszczy się nad owsianką jak kałuża, ale to już wszystko
 jeżeli pominąć te inne ranki, legendarne,
 kiedy światło drży jak palce sprawdzające żyłkę,
 kiedy przyciskasz szklankę do ust, szkło pęka
 na wargach i mówisz: „Miliony
 łanem cienia płyną ulicami, z ust
 ścieka im krew, zagryzają wargi do krwi
 iodchodzą w zacisze złudzenia”. Do krwi,
 to dobre, to jest takie Lenzowskie
 szukanie guza, lubieżne pragnienie,
 żeby rzeczywistość zgwałciła cię ze wszystkimi
 ponurymi konsekwencjami. No a sny?
 Ten krótki oddech z dna płytkiej narkozy
 zmywanej martwą falą niepomyślnych snów
 jest jak echosonda przynosząca wieści
 oskrzepakom lęku rozsianych w arteriach.
 Ale sny ściekną w dzień lub ugrzęzną
 w starganych nerwach, gdy świt na sygnale
 wybłyśnie zza chmur i jadąc rano
 18-ką znów poczujesz się przesiedlonym
 obywatelem świata — roztrzępaną wrażliwością

sfotografujesz te słynne mosty na prawo i lewo,
wałące się? Mosty jak przewrócone dźwigi?
Po których pełzną windy samochodzików?
Cokolwiek. I powiesz: „Czas już na plan.
Kręcimy wszystko od «rozprężenia zmysłów»
do końca. Do końca i dalej, daleko
dalej, do diabła i jeszcze dalej”.

Trzy wiersze z bliskiej północy

Huntsville

*Le sexe est sombre, et, Henri Parisot,
parce que la poesie l'est encore plus.⁸*

Antonin Artaud

Dni są nieistotne: sprawunki, zniewagi,
i ta szorstka jawność w tekturowych domkach
bez okiennic, zazdrostek, firanek i rolet
tak że wie się dużo i męczy wrażenie
uczestnictwa w spowiedzi każdego przed każdym,
Tu wszędzie jest skała, nuda i otwartość,
plateau ennui i beletrystycznych nastrojów
i można odpowiedzieć na każde pytanie
zadane przez kogoś dawno i daleko. A świat
nam się układa w żmudne serie rytmów
rzucanych beładnie we wszystkich kierunkach —
fala, skowyt nura, grzmot, kroki i oddech —
jakby jakiś demiurg puszczał kaczkę przez wszechświat
siedząc na kamienistej plaży w skupieniu godnym
lepszej sprawy. Ale czy cokolwiek z tego
staje się częścią umierania? Bo myślę, że śmierć
jest jak to jezioro stojące na sztorc
w powietrzu, całe skryte w rudej mgle,
grzywce światła. I to już jest noc.
A noce są ciekawsze, montują obrazy, księżyc
jak cząstka cytryny wbity w krawędź szklanki nagle
przepada we mgle i jeden dom z tektury wygląda
jak bania pinakolady na śniegu. I słysząc świerszcza
„jak-jak” surową krytykę, słysząc każdy oddech
i dalej wszystko trzeba robić jakby potajemnie
z palcem na czyichś ustach, z zębami
na własnym nadgarstku, bo noc niby miłość musi być
cicha i pusta jak plaża baptystów w niedzielę.
Ale i noc do nich należy, bo zorza polarna,
ta korona, przyczółek lub ostroga światła
w rzece nocy (choć dla mnie raczej oszroniona szklanka,
lub dłoń na ciepłym czole nocy) jest dość sugestywna,
by pisali farbą w sprayu na wysokich skałach

⁸*Le sexe est sombre, et, Henri Parisot, parce que la poesie l'est encore plus.* (fr.) — Płeć jest ciemna, Henri Parisot, ponieważ poezja jest taka jeszcze bardziej. [przypis edytorski]

o sędzie, który przyjdzie zaraz po tym, i palcem
w lepkiem kurzu na samochodach, że Jezus umarł
za nasze grzechy. A wszędzie na trawniczkach:
*my presence shall go with thee*⁹. Zaiste,

nieoswojone są tylko te chwile nad ranem,
kiedy zamiera śmiech i dogorywają gry, wywrotowe
zabawy — chińczyk na planszy od węży i drabin
jak na ironię serio. I pamiętam biel soli
na ustach, poranne pragnienie i brak uzmysłowiony,
który uświadomiony staje się sekretem
jak tamten nocny motyl, ćma wielkości dłoni dziecka,
jakby z barwnego zamszu, kropka postawiona po nocy —
emblem snu, albo magiczny inicjał
rozpoczynający iluminowany rękopis,
którego treści nie będziemy znali.

Wild Water Kingdom

Ale te wielkie zjeżdżalnie wodne, jaki to piękny
podarek dla śmiechu i od śmiechu, w pewnym sensie, też.
Tu nie ma zahamowań. Przede wszystkim negliż;
wszyscy są prawie nadzy i nikt nie trzyma się prosto
a jeśli nawet prosto, to po to, żeby kłaść się
i spadać, lecieć z nóg ze śmiechem, kłaść się
ze śmiechu i pędzić z zawrotną prędkością
podkręcaną przez śmiech aż po eksplozję wody
co jest jak salwa śmiechu kończąca ten żart
z postawy pionowej i recept decorum. Tu jest
perpetuum mobile, alchemia ruchu dla ciała,
bo i po ciężkiej nocy, po czarnej mszy, w ciągu dwóch godzin
możesz odzyskać pełną potencję i rezon
nawet niekoniecznie rzucając się w dół z tej pionowej
zjeżdżalni czy lecąc przez lazurową rurę, lecz choćby
kołysząc się na Lazy River lub drżąc z rozkoszy
w gorącym basenie *jaccuzzi*. A potem dzwonią na falę
(spiętrzoną w domku bez okien), której rytm przypomina
wieczność zmuszającą do bezustannego skakania —
jakby przez błękitną skakankę czasu albo naprężoną
gumę rozpiętą na łydkach tych dwóch ratowniczek
stojących na brzegach basenu. Tu są megafony
(wszystko jest pozorem, radością momentu,
pożarem monumentu i szczęściem spadania)
i gwar, i te okrzyki *wow* i *oh, boy* zewsząd,
ciała prędkie jak rtęć i piękne nimfetki
niby tak zajęte sobą a przecież zawsze
znajdujące odpowiednią chwilę, żeby obrzucić
mężczyzn jakimś niezupełnie niewinnym spojrzeniem,
w którym migocze coś jak szybki cień uśmiechu,
przedsmak śmiechu Virginie, który Paul poczuje
niby kostkę lodu drgającą na brzuchu. I pragnę

⁹*my presence shall go with thee* — *Księga Wyjścia* 33, 14. [przypis edytorski]

zanurzyć się w tej *folie lucide*¹⁰, chcę doznać
*vertige de l'hyperbole*¹¹, *commotio*

*vel fluctus*¹². Tu jest po prostu ciągły przeciąg wody,
pęd i w zasadzie brak gruntu pod stopami,
choć niby jest to „w zasadzie”, a zatem i tutaj
można by balansować — na wstęgach wody, w zamieci?
Ale nie wolno zjeżdżać głową w dół. To nogi
idą najpierw i budzi wesołość
to dowartościowanie nóg tak karnawałowe
(głowa wlecze się z tyłu jak roześmiana zabawka)
zwłaszcza w scenerii tak jawnie komicznej,
wśród syntetycznych kształtów, ni męskich ni kobiecych,
zalewanych hektolitrami heraklitejskiej wody
mknącej we wszystkie strony niczym metafora
cyrkulacji płynów w aniele Swedenborga.
I całość się przewraca w jakąś alegorię.
Zobacz w strumieniach wody parodię potoków
łez całego świata, zobacz w tym systemie
niebieskich wodospadów koronę gałęzi
splątanych jak węże, cudownie
groteskową wersję mitycznego drzewa,
naturę przechytzoną w akcie alegorii,
która przedrzeźnia ogród uciech tudzież ogród nauk
tymi hiperbolami, parabolami, sinusoidami rozkoszy,
uczonymi spiralami śmiechu. I nie mam pojęcia,
czy wszystko kończy się weselem czy obłędem,
roślinną powagą radości czy konwulsją śmiechu,
bo stosunki mogą się zmieniać, ale wygnanie
pozostaje bez zmian. Boisz się, maleńka? W nocy
te zjeżdżalnie drżą w błękitnym blasku
wody pod czarnym niebem, a my odlatujemy
z odwróconych łuków tęczy jakby z negatywów
niedoświetlonych uczuć i każde ma osobny śmiech
przekreślający przestrzeń jak spieniony ogon komety,
jak kwiat, który wieńczy noc samotnością
odurzającego blasku. I rozjeżdżamy się
w odwrotne strony, nieuchronnie, opadając, *down*
we go. I tak jest dobrze.

All that jazz

z poczekalni

Błogosław przyspieszenia. Kiedy wschodzą gwiazdy
tężeją rysy twarzy, ciemnieją uśmiechy i przestwór
powraca do szyku, który za dnia rozerwany
pobudzał twoje tętno mamrocząc we krwi:
zamęt, który cię wzrusza, szyje igła słońca
co czyta w nas muzykę na ginące głosy —
a każdy niczym ścieżka na skraj kanwy narzeczca.

¹⁰*folie lucide* (fr.) — świadome szaleństwo. [przypis edytorski]

¹¹*vertige de l'hyperbole* (fr.) — zawrót głowy hiperboli. [przypis edytorski]

¹²*commotio vel fluctus* (łac.) — poruszenie albo fala. [przypis edytorski]

Jeżeli chcesz przyspieszyć, przesuwaj akcenty
z mocnych części taktów na te przemilczane i
zważ: deseń jest wytarty do samej osnowy,
pyłu uczuć, dźwiękotek — więc spróbuj zniweczyć
sekundę między ściegami nastrojów, żeby puściła
składnia a nowy język pokrył ślepą mapę wzruszeń
wzorem gęstym jak grad i tak błyskawicznym,

że przycichnie szmer werbli i harf, choć tło
musi pozostać, aby tym prędzszy wydawał się potok
synkop, szybki jak podmuch ciszy spadający na tych,
którzy zaniemówili ze szczęścia. I rzeczy
przemkną przez ciebie dobrze oświetlone
i tak wolne od znaczeń jak dzień, po którego zboczach
spłynęły widoki na przyszłość.

Powinieneś jednakże zacząć od zerwania
pieczęci z księgi widm pospolitych wątków,
żeby zasnuć ich gładkość, rozpiąć je na głosy,
naderwać ścięgna sensów. Przynaglaj wszystko,
co zniewolono do trwania. Kochaj,
ale wystawiaj miłość codziennie na próbę
snów mocnych jak piółun i nowej muzyki.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z *Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur*.

Ten utwór jest udostępniony na licencji *Licencja Wolnej Sztuki 1.3*.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na *Licencji Wolnej Sztuki 1.3*. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w *Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur*. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/sosnowski-zycie-na-korei>

Tekst opracowany na podstawie: Andrzej Sosnowski, *Pozytywki i marienbadki*, Biuro Literackie, Wrocław 2009.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>). Reprodukacja cyfrowa wykonana przez fundację Nowoczesna Polska z egzemplarza pochodzącego ze zbiorów autora. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Opracowanie redakcyjne i przypisy: Aleksandra Kopec, Jan Szejko, Paulina Choromańska, Paweł Koziol.

ISBN 978-83-288-5241-9

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).